

# OMNIBUS

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

Nulla dies sine linea.

III.

POZNAŃ.

W zleceniu księgarni Jana Konst. Żupańskiego.

NAKŁAD AUTORA.

1869.



Czcionkami J. I. Kraszewskiego w Droźnie.

† Magdalena z Żółtowskich Łuszczewska. — Kraj. —  
Z czasów Mikołaja I. przez naocznego świadka. — Deme-  
trius Schillera. — Grenze. — Klemens Janicki przez  
Z. Węclewskiego. — Wacław Potocki przez A. Bełcikowsko.  
Polowanie we Francyi. — Młoda literatura. — Wymowa Ge.  
Grant'a. — Michelet i Blanc. — Z odczytu Em. Levasseur.  
Pamiętnik Kielsiew'a. — Obrazy Rusi Czerwonej wydanie  
J. K. Żupańskiego. — Sprawa księżnej B... w Paryżu.







Dnia 17. Marca zmarła w Warszawie matka Deotymy.\* — Śmierć ta dopełnia miary cierpień, na które podobało się Opatrzności wystawić jeniálną poetkę.

Dawniej już straciła siostrę,... potem towarzyszyła ojcu na wygnanie wśród dziczy, gdzie niełaz o życie walczyć przychodziło pracą, odwagą — cierpliwością... Po powrocie do kraju zgasł ojciec, chorowała matka... naostatek i ta skończyła życie. Jeniálna wieszczka została na świecie samą, gorzej niż samą... otoczoną duchami przeszłości.

Na widok takiej niedoli — korzy się umysł nie umiając pojąć ludzkich przecznień, nie mogąc sięgnąć do dna téj strasznój tajemnicy cierpienia.

\* Magdalena z Żółtowskich Łuszczewska w towarzystwie znana pod imieniem Niny.

— Dla czego? — pyta się człowiek.

— Bóg — odpowiada cisza.

Tą świętą pieczęcią zamknięta dla nas księga wyroków.

Zmarła pani Łuszczewska, jak i mąż jej pan Wacław zostawili po sobie w Warszawie trwałe i niezatarte wspomnienia. Wyliczy wam pewnie kto inny rozprawki pani Niny w Pielgrzymie, pisma pana Łuszczewskiego, ale to są najmniejsze z ich dzieł; najtrudniejszém do ocenienia a prawdziwie znakomitóm było utworzenie w domu ogniska dla społeczeństwa, które ogrzewało i oświecało więcej może niż jedną Warszawę.

W czasach tego terroryzmu Paszkiewiczowskiego i samowoli Mikołajowskiej (które się nam dziś jeszcze stanem niemal błogim wydają) trzeba było niemalój odwagi by otworzyć salon dla wszystkich, salon dla rozmowy, czytania, muzyki, sztuki. Wpływ tych Poniedziałków, z których dowcipnisie sobie szydzili, był niezmierny. Salon dostępnym był dla wszystkich, gospodyni dla każdego równie uprzejmą; bawiono się tu nie w obmowę i papla-Niny (jak żartował pan Leon) ale w to co szlachetniejsze budziło uczucia, co zagrzewało do pracy, co wiodło na dobrą drogę.

U pani Łuszczewskiej arystokracja, wielcy pa-

nowie, mieszczaństwo, ubodzy artyści, świeżo obmyci neofici, wysocy urzędnicy, wędrowni artyści, świat co nic nie robi i co na chleb pracuje spotykali się jak na neutralnym gruncie, jako społecznie równi i równouprawnieni. Ale tu zasadą tego równouprawnienia było to właśnie co nią być jedynie powinno — wykształcenie, jeniusz, talent, zacność charakteru.

Na drodze praktycznej (jak dziś mówić nauczylśmy się) — pierwsza pani Łuszczewska ośmieliła się w salonie swym uznać równość wszystkich — dobrze wychowanych ludzi. Wpływ tych wieczorów poniedziałkowych, uwolnionych od wszelkiej etykiety, na których nawet dopuszczono cygaro aby mężczyźni zmusić do dłuższego zatrzymania się, był bardzo wielki. Społeczności się one zasłużyły niezmiernie. Oprócz tego oddały innych przysług nie mało, wdrażając do zamiłowania literatury, dodając otuchy talentom, dając poznać młodych a pełnych nadziei poetów i artystów. — Mało który pisarz, malarz, rzeźbiarz, artysta dramatyczny, muzyk, nie wystąpił tu po raz pierwszy, nie został popartyim poznajomionym w szerszém kole i dźwigniętym bez narażenia miłości własnej. — Tu przyjmowano przybywającego Moniuszkę, tu admiirowano pierwsze portrety Simmlera, tu dała się słyszeć zdziwionym

Doetyma, niejeden wiersz zabrzmiał, a nadewszystko niejedna kwestya sporna literacka została, jeśli nie rozwiązana, to rozbięraną i rzuconą na łup czynnym umysłem.

Na każdy z takich wieczorów gospodyni umiała wynaleść jakiś duchowny przysmak swym gościom. To téż każdy przejeżdżający bodaj przez Warszawę, miał sobie za obowiązek i zaszczyt przejść przez ten skromny salon, który wszakże był jedynym w naszej stolicy.

Jakićś umiętności życia, dobroci, rozsądku potrzeba było, ażeby przez długi przeciąg czasu panować dosyć niestalemu towarzystwu — każdy to pojmie. W ostatnich dniach salon ten widział jeszcze obok siebie stojących Margr. Wielopolskiego i Hr. Andrzeja...

Tak samo w innych dobach spotykali się tu nieraz poeci i krytycy, najzapaleńsi liberaliści z najzaciętszemi orthodoxami, ludzie zdań najprzeciwniejszych, Sikorski który nigdy żadnej muzyki prócz swojej za dobrą nie uznał z jeniałnym Moniuszką i Dobrzyńskim i t. p. Szatyński z Wł. Wolskiem, Zmorski może z Andr. Koźmianem.

Było to jedyne miejsce w którém się spotykało wszystkich, w Niedzielę u p. Leona, w Poniedziałek u pani Niny. — Śniadania Łubieńskiego i wie-



czory Łuszczewskich, stanowią charakterystyczny rys życia Warszawy między 1832. a 1863.

Polityka była wygnaną (*et pour cause*) z obojga zebrań, ale nie było w literaturze, na scenie, w sztuce nic nowego co by się tu nie ukazało. — Dziś podobne wieczory w Warszawie wśród liberalnej epoki, byłyby niepodobieństwem...

Pragniemy oświaty i usiłujemy ją szerzyć, chcemy rozwinięcia literatury — powinniśmy pamiętać o tém, że nie same książki są narzędziem do szczepienia miłości rzeczy wielkich, że żywe słowo, czynność społeczna są dźwigniami postępu może nad wszystko dzielniejszymi.

W historii literatury polskiej po 1830. roku, nie jako matka Deotymy, ale z własną zasługą, choćby jednego słowa nie napisała w życiu — zajmie należne sobie miejsce zacna pani Łuszczewska.

Pisać siedząc w kącie za stołem może jest łatwiej, niż oddziaływać na zdrętwiałą społeczność żywym orężem słowa. Wieleż to razy gospodyni musiała staczać walki i podejmować się wykładów, aby lekkomyślne sądy złamać lub ciemnotę pieknych pań nieco oświecić!!

Pamięć ludzka... krótka niestety, niewdzięczność wielka... zapiszmyż na téj ulotnej karcie choć kilka słów należnej czci dla zgasłej matki Deotymy.

Jeśli się kiedy ukażą z téj epoki pamiętniki, którego ze stałych mieszkańców Warszawy (mamy jednego niedawno zmarłego na myśli) — dadzą one lepszy, bardziej szczegółowy wizerunek tych wieczorów poniedziałkowych... w przeciągu lat tylu coraz odmiennych, zawsze jednych a nowych.

Pani Magdalena Łuszczewska była córką niegdyż generała wojsk polskich Żółtowskiego; żoną dyrektora wydziału przemysłu i handlu... matką dwóch poetycznych talentów... a zdaje mi się że liczba tych których opiekunką nazwać się mogła, obrać się nie daje. Nie sądzę, by komu kiedy zaszkodziła, a w pomoc przyszła wszystkim niemal talentom współczesnym.



Na kilka miesięcy przed ukazaniem się dziennika „*Kraj*” obudzał on już zajęcie powszechne; dopytywano, obiecywano, nie wierzono w zjawienie się nowego organu, któremu opinia powszechna z góry narzucała współzawodnictwo z *Czasem*. Było ono nieuchronnem, gdyż dwa jednéj barwy i wartości dzienniki, w jedném ognisku są niepotrzebne i niemożliwe. Nowy musi z sobą przynosić coś nowego, musi mieć przyczynę życia. Na téj nie zby-

walo *Krajowi*. Galicya potrzebowała organu uczciwego, sunniennego, niezawisłego, przemawiającego w imię kraju, nie w imię osobistości jakiegś ambicjnój, stronnictwa lub konsorcjów. — Ani strupiejszały Czas, ani zbrukana Narodówka, ani dobrej woli ale słabych sił Dziennik, nie mogły starczyć w położeniu tak ważném a tak trudném jak obecne.

Ale stworzenie dziennika obok Czasu mającego imię, kapitał, klientelę, rutynowanych (wedle pospolitego wyrażenia) acz wyczerpanych redaktorów, pewne tradycje formy, stosunki, poparcie przeważne ludzi silne stanowisko zajmujących — stworzenie takiego dziennika łatwém nie było. Czas zachowawczy, orthodoxus, bankiersko-pański, wskazywał w swym współzawodniku niebezpiecznego opozycjonistę, wyraz rewolucji społecznej... obrzucał nowo rodzące się pismo najstraszniejszą w Galicyi fana... czerwoności. Nim się Kraj ukazał, już w pewnych kołach był osądzonym... Ale nie trzeba zapominać że i *Czas* oddawna téż znanym jest i wiedzą ludzie co trzymać o nim... Jest on najniezręczniejszym wyrazem partyi, która zwykle lepiej się umie bronić i propagandę szerzyć.

W ostatnich latach stracił zupełnie poczucie przyzwoitości, wstyd i pozory bezstronności nawet; gotów był najlichsze elukubracje przyjmować byle

ideę i ludzi sobie przeciwnych obrzucać błotem. — W tym względzie nie ustępował już nawet prototypowi Narodówki.

Po długich oczekiwaniach „Kraj“ z podpisem swych właścicieli ks. Adama Sapiehy, Szym. Samelsona, Leona Czarlińskiego i Stan. Czarneckiego, ukazał się nareście. Ci którym się zdawało że powinien bardzo jaskrawo i gwałtownie wystąpić, mocno się zawiedli. Rozpoczął życie trzeźwo, ostrożnie, przyzwoicie, z godnością, z powagą, doraabiając się uznania, które bez żadnej wątpliwości zyskać powinien. Nie jest to jeszcze idealny ów dziennik któregobyśmy pragnęli, ale w warunkach danych, lepiej rozpocząć nie mógł.

Zdaje się z pilnego rozpatrzenia się w siłach któremi rozporządza Kraj, iż niema jeszcze tak złożonej redakcyi, jakby pragnąć można. Bardzo słusznie jest umiarkowanym i ostrożnym, ale mógłby być żywszym nieco. Korrespondencye zostawiają wiele do życzenia, a część literacka, z wyjątkiem *Praxedy*, ważności pisma nie odpowiada.

W życiu naszym literatura zbyt wielką gra rolę, by ją zamiedbać lub lekceważyć można. Wolno *Czasowi* ignorować to wszystko czego pan Lucyan Siemieński nie lubi i co mu zawadza, ale *Kraj* winien zdawać sprawę z każddej nowej książki, na

imie to zasługującej. Pewni jesteśmy że to dopełnić się postara.

Założyciele Kraju powinni o jednej zasadniczej prawdzie być przekonani, to że dziennik żaden nie zdobywa od razu wziętości, że na nią musi pracować i zasłużyć, że potrzeba żyć i trwać, zasiewać — by zbierać. Nowicyat może być długi, trzeba się na to przygotować.

Najsprzeczniesze, nienawidzące się organa Czas i Narodówka, zawierają z sobą sojusz przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Taktyka to prosta bardzo ale obrzydliwa, przewidzieć ją było trudno, znieść należy.

Niepowinien się Kraj obawiać uczciwej polemiki, bo walką tylko żyją pisma czasowe. Kto się jój lęka, ten się w ich szeregi zaciągać nie powinien, niech siedzi za piecem.

Ale w walce trzeba dać przykład uczciwości, której niema Czas i Narodówka, stać przy zasadach a ignorować osobistości, uznawać prawdę gdzie ona jest, choćby w nieprzyjacielskim obozie, wymierzyć słuszość choćby niemilej osobistości; karcić nawet przyjaciół — ale karcić po kapłańsku nie po intrygancku i po kuglarsku.

*Principiis obsta*, stać powinno na czele dziennika; — ale obok poszanowanie zasługi, człowieka,

godności jego i przyzwoitości. — Nie wszyskieni narzędziami uczciwi się ludzie posługiwać mogą, odrzucić brudne środki (jakich używa Czas) bo te nigdy do czystego celu nie doprowadzają.

A najwyższy rozum — cnota!

Z tém godłem Kraj wyrobi sobie stanowisko i będzie miał tę zasługę, że sponiewierane dziennikarstwo przez intrygantów i faktorów, podźwignie. Życzym mu tego i spodziewamy się że dokona zadania. Wytrwałości tylko i sumienia!



Naoczny świadek, opowiadał nam następujące z r. 1839. zdarzenie; zapisujemy je jako rys do historyi Mikołaja. W roku tym Mikołaj robił przegląd (Smotr) pierwszego moskiewskiego kadeckiego korpusu, złożonego z. samej szlachty. Komendantem był pułkownik Franciszek Światłowski (Franc Karłowicz) Polak, niegdyś oficer artylerji w korpusie litewskim, który w r. 1831. będąc porucznikiem, oświadczył że się z braćmi bić nie będzie, za co przeniesiony do Rossyi, później przyłączony był do korpusu kadetów. — Każdy taki przegląd korpusu w którym było mnóstwo synów arystokracji miejscowej, tysiące miał ciekawych świadków.

W czasie przeglądu sztabs-kapitan Padłow (ósmego plutonu czyli kompanii) zmylił komendę; Mikołaj prędki zawsze poruszył się tém do wściekłości i zaczął wołać na całe gardło: Światłowski! Światłowski!

Cisza ogólna... Car zły... wszystko drży, ale Światłowski nie słyszy. Mikołaj powtarza — Światłowski! Pułkownik jakby był głuchym nie odwraca się.

Nareście pomiarkowawszy się Mikołaj woła nieco grzeczniej:

— Panie pułkowniku Światłowski!

Pułkownik dopiero się odwrócił ze spuszczoną szpadą na znak że gotów jest spełnić rozkaz. — Rozgniewany car woła do niego: — Zkąd się u was wzięła panie pułkowniku ta małpa która dowodzi ósmą kompanią?

Światłowski odpowiada z uszanowaniem:

— Sztabs-kapitan Padłow, z konnej artylerji W. Cesarskiej Mości rozkazem przeniesiony do 1. moskiewskiego korpusu kadetów...

Cesarz nic nie odpowiedział, prędko skończył przegląd, nie chwając ani ganiąc, odjechał gniewny. Jednakże nauka ta nie została straconą, w następnych latach nie odzywał się nigdy do pułkownika jak w bardzo przyzwoity sposób. Pomimo



swój dzikości umiał poszanować niezależność charakteru... Światłowski został później generałem, a umierającego cesarz obdarzył wielką wstęgą i uposażył wdowę i dzieci, gdyż Światłowski nie umiał kraść i umarł ubogim...

W r. 1846., opowiada ten sam — odbywał się w Peterhofie ślub córki Mikołaja Olgi Mikołajówny — zjechało się nań mnóstwo zaproszonych książąt z Niemiec całych. Zwykła carska zabawa, najrozmaitsze przeglądy zajmowały gości. Mikołaj lubił się chwalić wojskiem swém i wychowañcami korpusów kadeckich. Kilkuset wychodzących z tych zakładów młodych ludzi zdawało egzamin na oficerów, który się zakończył strzelaniem do tarczy. Car był zadowolniony, kazał broń złożyć w kozły i powołał do siebie kadetów którzy kołem otoczyli Mikołaja stojącego w gronie całej rodziny swojej.

Car przemawiał właśnie dając naukę moralną przyszłym obrońcom ojczyzny i zachęcając ich ku wierny służbie, gdy najniespodzianie ukazała się dziwna postać przeciskająca, mimo zakazu z prośbą do cara. Był to zgrzybiały starzec, może dwięćdziesiątletni, w mundurze starego kroju, obwieszony orderami dawnego fasonu... widmo z czasów Katarzyny... Był to odstawny niegdyś pułkownik. — Podeszedł, padł na kolana i chciał od-



dać prośbę carowi; było to przeciw etykiecie. Miłkołaj w jednej chwili z najlepszego usposobienia i humoru przeszedł do wściekłości, której hamować nie umiał. W obec rodziny i obcych książąt car rzucił się na winowajcę i starca... kopnął nogą w ramię... pułkownik upadł na wznak. Wszyscy zbledli ze zgrozy, szczególnież obcy książęta nienawykli do takich przygód.

Obecny następca tronu przestraszony i zawstydzony, gdy car się odwrócił, nadbiegł do starca, podniósł go, odebrał prośbę i usiłując zatrzeć wrażenie, przyrzekł że zostanie spełnioną. Na obietnicy się wszakże skończyło... i na skandalu...

Subordynacja moskiewska nie cierpi najmniejszego wyjątku... a żołnierz tak do niej nawykł, że wiarogodni świadkowie mówią o następującym objawie uszanowania.

Żołnierz przechodzący ulicą począł się przypatrywać pięknej papudze zielonej siedzącej na balkonie. Jeszcze się ję przyglądał, gdy papuga wychowana znać w dobrém towarzystwie, poczęła krzyć po moskiewsku: Głupi! głupi! (Durak).

Żołnierz struchlał, natychmiast wyprostował się, zdjął czapkę i odezwał z pokorą:

— Darujcie wasze błahorodije... myślałem że jesteście ptakiem... nie mogłem wiedzieć że oficer.

W istocie pierwszym objawem urodzenia i stopnia w Moskwie jest łajanie i bicie. Gdy kto łaje a nadewszystko uderza, można być pewnym wysokiego urodzenia i stopnia wyższego. Policzek starczy za rekomendacją.

Poławianie papugi było najlepszym dowodem jej oficerskiej rangi... żołnierz postąpił jak mu instynkt narodowy dyktował.

(Ze wspomnień A. L. hr. S.)



W Schillerowskim spadku została, jak wiadomo, część niedokończonój tragedyi *Demetrius*, wziętėj z historyi fałszywego Dymitra, która — znać to z pism współczesnych — całą Europę niesłychanie zajmowała. — Schiller widział w niej zadanie tragiczne mogące dostarczyć wątku do znakomitego poematu. Nie szło mu wcale o historyczną prawdę, o koloryt, o barwę wieku i walkę narodowości i idei, sytuacja była dramatyczna i nęcąca. Tragedyi tój wszakże osnutėj przez poetę zostały ułamki tylko. Zużytkowanie ich zaprawdę wielkiej wymagało odwagi, było to dopiastowanie niedonoszonego cudzego dziecięcia, a myśl i dziecię cudze przyswoić sobie i wypełnić brak organizmu... nie-

pospolitém, niewdzięczném jest zadaniem. Zdarza się co chwila spotykać cudzą osnowę zużytkowaną przez kogoś, ale na pół wykończone dzieło, nader rzadko, a szczęśliwych takich dopełnień i przedłużeń — literatura niezna prawie.

Ułamki Schillerowskie i jego wątek, odważył się przecie wcielić w całość nową: Laube utalentowany dyrektor Lipskiego nowego teatru. Sztuka ta, obudzająca wielkie zajęcie, przedstawioną została d. 1. Lutego w Lipsku z wielkiem staraniem i przyjętą została bardzo dobrze przez słuchaczyw usposobionych do dobrego przyjęcia.

Charakter Polski i jój rola w Dymitrze, nie z najlepszej malują się strony, całe polskie stronnictwo, aż do Lwa Sapiehy wystawia autor jako dość płache, chciwe i w niekorzystném świetle. Za to w pierwszym akcie malowniczy jest obraz królewskiego dworu polskiego, który z przepychem przedstawiono. Dymitra wystawił poeta jako męża dobrej wiary, uczuć szlachetnych rzuconego w położenie nierozwikłane, w walce z popędami uczciwemi a zadaniem oburządzającym. — Szczególniej akt czwarty i sceny Dymitra z matką jego, robią wielkie na scenie wrażenie. — Miłość swobody nadana charakterowi narodu moskiewskiego, wydaje się dziwnie; ale Minin i Pożarski tém się autorowi

tłumaczą, chociaż w istocie inny historyczny noszą na sobie charakter. — Laube wywoływany po każdym akcie, zyskane oklaski złożył na ołtarzu Schillera.



Mają swe losy nietylko książki i pisarze, ale malarze i — obrazy. Moda wynosi jednych niezasłużenie, lekceważąc drugich również fantastycznie; dziś Rembrandt i Hobbema, jutro ktoś inny, pojutrze dziwactwo dźwignie zupełnie nieznaną postać, której nazwisko dotąd niepozyskało było praw obywatelstwa. — Była chwila gdy szkoły hiszpańskiej obrazy ledwie zwracały uwagę, nadeszła potem dla Murilla apotheoza że się jego najmniej dobre utwory na miliony ceniły. — Toż z niektórymi włoskimi artystami; z francuzami i holleudrami.

Do wielce dziś cenionych należy *Greuze*; rozpowszechniony mnóstwem sztychów, ujmujący wyrazem swych twarzyczek dziewczęcych, chłopczyków, dzieci, nieporównany w sielankowych scenach wiejskich, tego rodzaju jak je pojmowano w XVIII. wieku.

*Greuze* urodzony w Tournus w r. 1725., pierwszy raz wystąpił z obrazem familijnego, cichego

szcześcia wśród najzepsutszjej społeczności Ludwika XV., obok pasterek Boucher i portretów pani Pompadour. Obraz ten „*Ojciec który biblię dzieciom tłumaczy*,” uczynił tak ogromne wrażenie, iż artystę od razu sławnym uczynił.

W życiu jego pospolicie wymieniają ten szczegół, że żona służyła mu za wzór prześlicznych wieśniaczek które malował; wyraz jęj twarzy uśmiechnięty jest, łagodny, ujmujący. Tymczasem... historya grzebiąc w starych papierach odkryła świeżo iż to była najnieznośniejsza w świecie sekutnica... i gorzej jeszcze... Cudowna sztuki potęga unieśmiertelniła ją jako anioła dobroci, jako opiekuńczego anioła domowego ogniska.

Sam znowu Greuze, który sceny czułe i pełne rzewności najlepiej malował, sławnym był z pychy i zarozumiałości.

Brat pani Pompadour, pan de Marigny wraz z Józefem Vernetem, obchodzili wystawę obrazów, szedł z nimi Greuze. Zatrzymano się przed jego obrazem *Zapłakanéj*. De Marigny po chwili odezwał się.

— Wiesz pan że to bardzo piękne...

— Tak, wiem, — odparł Greuze — piękne, chwalą mnie wszyscy, a roboty nie mam.

— Bo masz mnóstwo nieprzyjaciół, przerwał

mu Vernet, między innemi jednego, który niby cię do szaleństwa kocha, a w końcu cię zgubi.

— Kto taki? zapytał malarz.

— Ty sam! odparł Vernet.

Jakby to często i do wielu osób zastosować się dało!



Braknie nam dotąd historii literatury, chociaż, mamy już ich wiele... ale, każdej na czémś zbywa. Trudna téż rzecz napisanie książki o księgach z których treść ducha wycisnąć potrzeba... należałoby temu całe życie poświęcić — bez tego nie-  
możliwa zrobić co innego nad lepicie i powtarzanie. Posłużyć się pracą cudzą niebezpieczna, a wreszcie i tych przygotowawczych monografii nie-  
mamy, nikt jeszcze dróg nie przetrzebił wielu, które gęszcze zarastają i jako gęszcze omijane są.

Większych nawet postaci literatury fizyognomie nie są jasne dla nas i wyraźne. Powoli jednak pojedynczenni studiami wyrabia się lepsze o nich pojęcie.

Tak w roku przeszłym bardzo dobrą monografią Trenów i części poczyi Kochanowskiego dał nam F. Faleński, a oto teraz przybywa nam ciekawa

wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezji Klemensa Janickiego przez profesora Z. Węclewskiego. Z téj książki opartéj na pracowitych studyach i na niewydanych rękopismach (listach, epigrammatach) pilnie badanych, użytych umiejętnie, rośnie nam postać Janickiego wcale wyrazista.

Na swój czas zaprawdę zjawisko ciekawe, syn kmiecia wielkopolskiego ubogiego, dziecko wieśniacze, poeta laureatus... europejskiej sławy. W dwudziestym roku życia już poeta łaciński wprawny, już ulubieniec Knity, Krzyckiego,... uczeń Pade-wskiego Bonanica... ale biedaczysko schorzały, z Włoch, do których jeździł po życie, wywozi śmierć i po dłużej febrze, zabójczą puchlinę wodną.

Całe to życie ubiega mu na tęskném śpiewie, na składaniu wierszy... na rozkochiwaniu się w niewiastach i na jakimś chorobliwém nękanu się swym losem.

Spotwarzono wszakże Janickiego, pomawiając go o życie rozpustne, przez złe zrozumienie jego poezji...

Może jednym z najciekawszych obrazów elegii Klemensa jest wizerunek, który skreślił samego siebie. Jest on tak żywy iż zdajemy się nań patrzeć — a wieluż znaleźmy podobnych!

Słabiej budowy ciała, wątłych sił, że praca  
 Lada jaka niebawem one unżyła;  
 Postaci dość przystojnej i twarzy pogodnej,  
 Którą często rumieniec, znak wstydu, zalcwał.  
 Wymową łatwą wcale wspierał głos dobitny.  
 Na twarzy cery bladój, słusznemu był wzrostu.  
 Uraży znieść niemógłem, a skłonny do gniewu  
 Wrażylem go zacięcie często w sercu długo.  
 Nieprzyjacielem byłem otwarcie, nie skrytym —  
 Lecz waśni nie wszczynałem i nie podniecałem.  
 Stale czeilem przyjaciół, dobranych z rozwagą,  
 Nauczony, że skarb to jedyny, prawdziwy.  
 Gdyby los był udzielił mi majątek wielki,  
 Nic byłby mnie przewyższył nikt szczodroblivością  
 Ni wystawnością. To też prawdziwie królewskie  
 Chwaliłem zwykle słowa rzymskiego cesarza:  
 „Żadnego dobrodziejstwa dziś nie wyświadczyłem,  
 Dziś więc bezużytecznie, wstyd wyznać, stracony.“  
 Skory do łez, miękkiego i czułego serca,  
 Miałem taką odwagę, jaką miewa jeliń;  
 Ztąd w nieławności miałem zbroje i pallady,  
 Strasznej, kiedy do boju bieży, byłem wrogiem.  
 Wytworność, prawie jako niewiasty, lubiłem  
 Do przesady w pokarmach, stroju i wygodach.  
 Do dwudziestu lat jednak życia od dzicziństwa  
 Jedynie *czystą wodą* gasiłem pragnienie.  
 Snać choroba wątroby ztąd się wywiązała,  
 I ztąd dusi oddawna mnie wodna puchlina —



Może to właściwość poety, ale téż i wieku charakter się przebija w téj spowiedzi tak szczeréj i otwartéj, aż do wyznania błędów upokarzających, jak w szesnastym wieku brak rycerskiego ducha. Dziś by się na to żaden pono poeta nie zdobył.

Życie Janickiego należy do najoryginalniejszych losów poety. Podróż jego do Włoch, powrót do kraju utrapiony, stosunki z możnemi, miłość dla Elżusi... naostatek śmiałość z jaką syn kmiecia panom polskim prawdę wypowiada... są rysami téj biografii, którą p. Węclewski skreślił pierwszy raz jasno i dobitnie.



Obok monografii Klemensa Janickiego, stanąć może druga p. Ad. Bełcikowskiego o Wacławie z Potoka Potockim, znakomitym autorze poematu Wojna Chocimska, wydanego zrazu pod imieniem Lipskiego.

W tym wieku, w którym żył Potocki niemal on sam w Polsce prawdziwą poezję przedstawia. Życie Potockiego ciche i skromne, pospolity żywot szlachecki a wiejski. Nie należy on do możnych a głośnych, ale do ubogich Śreniawitów Potockich rodziny, wywodzących się z tegoż domu dzielnicy

co Kinitowie. — Zrazu służył wojskowo, potem zasiedział się na wsi, w Łużnie na podgórzu Karpackiem. Śmierć syna obłąkała mu życie żałobą, potem i pozostałych dwojga dzieci i żony. Osierocony pocieszał się pracą, zmarł pod koniec XVII. wieku.

Talent Potockiego odznacza się na swój czas znakomitą, niedorównaną, pełną energii i wyrazistości formą; a serce poczuciem upadku Rzeczypospolitej i narodu szlacheckiego... jeśli się tak z nim wyrazić godzi.

Grzechy nasze o Panie! za którymi w tropy  
Na pierwszy świat chodziły ognie i potopy,  
Dziś, nie w wodzie dla tężce, nie w ogniu z Gomorą,  
Ale się we krwi własnej i czyśczą i piorą. —

Należy przeczytać p. Bełcikowskiego choćby dla jego obrony XVII. wieku; a cała też rozprawa wielce na to zasługuje.



Zaproszony na polowanie do Francji, Niemiec który przywykł do myśliwskich wycieczek obfitych w owoce... przybywa na zamek (wszystko się tam zamkiem nazywa co się na zamek zamyka); z góry ciesząc się nowością łowów... i *sportem*, wyśmiej-

nityn, który mu przyobiecano. — Spieszył się tak syn Germanii, że jeszcze przyjaciela swego, którego Paryż zatrzymał, nie zastał w domu, przyjmuje go wszakże łowczy i ofiaruje mu swe posługi.

— No — a cóż, idziemy na polowanie! pyta myśliwy.

— A jakże! a jakże, nazajutrz rozpocznie się od winnic..., tam kosów pełno... znajdziemy ich podostatkiem.

— He? zdziwiony podchwytuje myśliwy, który nigdy jeszcze nie polował na kosi. — No — a potem?

— Potem, odzywa się łowczy, zajdziemy w dolinę, skowronków mnóstwo... Następnie pokażę panu parę cietrzewi o których wiem... może się nam uda je odszukać... W dolinie jest też za błotem, mały stawek, gdzie w roku przeszłym widziałem kaczkę dziką. Jestem prawie pewny że to była dzika kaczka, ona tam jeszcze musi być.

— Ale jakże — przerywa znicchęcony Niemiec — czyż niemacie nawet kuropatw?

— Kuropatw! jakto! mamy! mamy kuropatwy! Pyta się pan czy są kuropatwy! a jakże! są! Ale z temi kuropatwami bieda okrutna! Było ich cztery... przeszłego miesiąca jedną zabił pan Margrabia, a drugą ranił śmiertelnie. Biedne stworzenie

dal i urodzi się powieść licha, głupia ale skandaliczna... A pismo które dobrych nabyć nie może, nabędzie choć nędzotę, aby zapchać puste karty...

Na cóż to schodzi powoli nasza literatura!! Dawniej szeregi jój wypełniały się ludźmi ofiary, talentu, istotnego powołania, dziś zbiegami takimi co z głodu gotowi rozszarpać rodzonego ojca byle z niego wydobyli sobie kawałek chleba, co własnego życia skandale frymarczą, w których niema ani iskry talentu, ani odrobiny nauki... Jeden kradnie komedye i przemaskowuje na scenę dając za swoje, drugi tłumaczy zapomniane romanse przekazując je za jenjalne utwory własnej muzy, trzeci nieostygłe jeszcze zaparawanowe przygody osobiste zamyka w ramy i podaje dla nauki i zbudowania podobnym sobie. Zaprawdę takiego kontyngensu brudów, nieudolności, takiego napływu awanturników jeszcześmy nie mieli nigdy. Korespondenci i współpracownicy Dziennika Warszawskiego, Czasu i t. p. stanowią w literaturze naszej zupełnie nowe i smutne zjawisko... Rdza ta zapewne nie długo potrwa, zetrze się to i zniknie rzucone do rynsztoku... ale pierwszy raz coś podobnego mamy u nas... pierwszy raz taka hałastra literacka śmie brudnymi rękami zbliżać się do ołtarza... i ci co

na jego straży stoją tak mało on ołtarz cenią, że przypuszczają doń byle czém zapchać karty, kto się trafi.



Zawsześmy szacowali wielce tych ludzi, którzy wiele mówić nie lubią, a obfite mowy na galicyjskich stowarzyszeniach, które wszystkie się niemal w słowach rozplynęły — potwierdziły nasze przekonanie iż milczenie i uniarkowanie w słowie są dowodem charakteru i znamieniem ludzi czynu. Dobrym przykładem być może generał Grant, dzisiejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Przed wyborem swym jeszcze przybył on do St. Louis odwiedzić chorego syna. W księdze podróży zapisał się po prostu — U. S. Grant z Chattanooga. Poznano go natychmiast, nie mógł uniknąć wydanego dlań obiadu przez obywateli miasta. Wzniesiono toast w pośród nieskończonych oklasków. Generał wstał — Gentlemen, ozwał się, za całą odpowiedź przyjmijcie podziękowanie moje.

Po obiedzie nastąpiła serenada, w czasie której gdy się na balkonie ukazał, tłumy znowu okrzykami go powitały, wołając i domagając się aby miał mowę. Generał milczał, wrzawa rosła — Mowa!

mowa! — Grant zdjął kapelusz i rzekł wśród uroczystego milczenia.

— Gentlemen, dziękuję za wyrządzoną mi cześć — mowy mieć nie mogę — nigdy w życiu jej nie miałem, i nigdy się nie spodziewam zebrać na nią, proszę mi przebaczyć.

Wśród okrzyków Grant zdjął raz jeszcze kapelusz, uklonił się, dobył cygaro i zapalił je, stojąc ciągle na balkonie naprzeciw tłumowi, który wołać nie przestawał:

— Mowa! mowa!

Puszczano fejerwerki... hałas był niezmierny, generał spokojnie palił cygaro, przypatrując się widowisku.

— Mowa! mowa! powtarzał tłum coraz hałaśliwiej — mowa!

Otaczający Granta poczęli go skłaniać aby przemówił choć słów kilka i uspokoił tłum; jeden z przyjaciół położył mu rękę na ramieniu i odezwał się: — Powiedzcież im choć, że bić się za nich umiecie, a mowy prawić nie wasza rzecz... choć to...

— Chyba z was kto za mnie to powie, rzekł Grant, ja i tego nie potrafię.

Lud ciągle krzyczał — Mowa!

Nareście Grant znudzony sparł się na balkonie, puścił kłęb dymu i odezwał się.

— Panowie moi! mowy prawić nie moja rzecz... Nie umiałem nigdy i nigdy tego nie potrafię — dziękuję wam żeście się tu zgromadzili.

Na tem skończył i wycofał się.



W przedmowie piątego tomu historyi rewolucyi francuzkiéj, Michelet, który ma wielu przeciwników w wielbicielach fanatycznych ludzi owéj epoki, odzywa się: „Odczytanie Buchez’a zabrało mi cale lata (40 tomów), nad dwunastą tomami p. Ludwika Blanc’a siedziałem dobry kawał 1868. roku. Ledwie dyszę. Aż tu przybywa przyjaciel niosąc z sobą księgę p. Hamel’a, (*Historyą Robespierre’a*) zbitą we trzy ściśle tomy bardzo drobnego druku. „Miałeś do zbytku, będziesz zarzucony...” Szkoła to przerażająca płodnością swoją. Ileż czasu dopóki się to wszystko przeczyta! Ponieważ napadają na mnie na każdéj karcie, obrachowałem, że, co najmniej, trzeba na to lat dziesięć. — Czy pożyję tak długo? wątpię. Ale jeśli mi się uda, będę krytykował krytykę tak, by również lat na przeczytanie potrzebowała. Poczynam to, i otwarcie uprzedzam.

Czy myślą że oni tylko sami mają papier i atrament? Tak z obu stron, odpowiadając sobie i zbijając odpowiedzi, mamy czém życie zapelnąć szczęśliwie! (T. V. xxv—xxvi.)



P. Emil Levasseur, w *Collège de France*, rozpoczął lekcję wstępną, historią faktów i teorii ekonomicznych; wyjmujemy z niej zakończenie tylko następujące:

„Gdzie się poczyną, dokąd zmierza cały ten ogromny ruch handlowy świata? Z dwu krajów, które nie zajmują ani setnej części przestrzeni ziemskiej, — z Europy zachodniej i północno-wschodu Stanów Zjednoczonych. Londyn i Paryż z jednej, New-York z drugiej strony, mogą się za ognisko uważać. — Ku nim obu spływają i schodzą się ze wszystkich całej kuli ziemskiej stron, lądami i morzami, materyały wszelkiego rodzaju które natura zakopała w minach lub rozrzuciła w florze i faunie różnych klimatów, kruszce, drzewo budulcowe, herbata, korzenie, aromata, bawelna, kawa, cukier, jedwab, skóry zwierząt. Tu się to wszystko przerabia w rękodzielnich ludów zachodu, przestacza na mnóstwo płodów w części zaraz na miej-



scu samém zużytych. W części téż płody te są wywożone, rozchodzą się znów i rozsypują w różne części świata, nawet w te zkąd przyszły jako surowy materiał, za który w zamian je dają. Tak tedy, ziemia cała przynosi bogactwa swe przyrodzone tym krajom, a one starczą przemysłem swym na podsyćcie ciągłego obrotu. Współcześnie, gdy przez świat cały bieży ten prąd skupiający się i rozpływający na przemiany, szerokiem korytem przebiega także ruch w obu kierunkach Europę i Amerykę, z Ameryki wracając do Europy i przedziera się wewnątrz jednej z nich, starszej cywilizacją, dotąd bogatszej jeszcze, to jest Europy zachodniej. Tu trwa nieustannie jakby wir zamian, który sam przechodzi ważnością swą o wiele, handel całej kuli ziemskiej. Tak, że gdyby porównać cyrkulację handlową świata z cyrkulacją krwi w zwierzętach, można by rzec że dwa te kraje są jakby podwójnem sercem, dającém życie i ruch handlowi kuli naszej. — Czemu one są winne tę własność swoją! Przestrzeń zajmowana przez nie jest stosunkowo nie wielka; ziemia z natury żyzniejszą nie jest nad inne; kraje te nie mają najgęstszej ludności. — Ale narody które w nich zamieszkują przewyższają inne energią w pracy, swobodą, inteligencją i nauką, kapitałami nagroma-

dzonemi... jedném słowem, tu człowiek więcej wart niż gdzieindziej — oto cała tajemnica tego przyciągania które wywierają na bogactwa i panowania nad światem.

Widowisko to, stanowiące fakt najrozleglejszy jaki nauka badać może, bo zamykający sobą świat cały, nie jest li głośném potwierdzeniem tego prawa zasadniczego nauki, które na początku przywiodłem — że człowiek jest zarodem i ostatecznym celem bogactwa.“



W Petersburgu wyszły w przeszłym roku — wspomnienia Bazylego Kelsiew'a, niegdy zwolennika i współpracownika Hercenowskiego. Kielsiew powróciwszy do kraju, wydrukował je pod tytułem: „*Przeżyte i przewalczone.*“

Kielsiew tłumaczy się naprzód co go pchnęło na drogę opozycyi przeciwko rządowi, wspomnienia Decembrystów 1825. r. i książki zakazane. — Filozofia, jak powiada, wyrobiła z niego utopistę. Nadeszła wojna krymska, młody człowiek zapalił się do bohaterstwa wojskowego i już był napisał prośbę, chcąc się jako ochotnik zaciągnąć, gdy

ochotników przeznaczono do rezerwy i — prośba została podarta.

Po wyprawie krymskiej Kielsiew w celu naukowym wybrał się za granicę. W r. 1859. postanowił wyemigrować i został w Londynie; zaprzągłszy się między rewolucjonistów. Z Anglii z pasportem tureckim objechał granice Rosyi i najdłużej zatrzymał się w Dobruczy. Pełno tam było moskiewskich emigrantów, których wcale nie prześladowano: — Stowarzyszenie „Ziemi i swobody“ rozpowszechnione — przecież do czynu nie obudzało — ani Kielsiewowi, ani nikomu rewolucyi wywołać się nie udawało.

W czasie powstania polskiego Kielsiew posłany był jako agent do Księstw Naddunajskich. W końcu przykrzyć mu się zaczęła, jak powiada, nieskończona jednostajna gadanina o wolności i postępie, nie prowadząca do niczego i poczuł że tę rewolucyą, której oni żądali *rząd sam robił* daleko skuteczniej. W r. 1863. cholera zabrała mu żonę i dziecię, został sam jeden. Stał się mizantropem. Z mizantropii przeszedł do rozumowania że jako emigrant krajowi się na nic nie przyda, że potrzeba mu powracać. Lękał się wszakże aby go przyjaciele nie nazwali zdrajcą.

Walczył tak z sobą — ale myśl powrotu i tę-

sknota go męczyły. Poszedł na radę do Konstantego Stepanowicza kuczera w Jassach, któremu z chęcią powrotu się zwierzył. Ten ją pochwalił, ale słuchająca ich rożnowy przy herbacie siostra kuczera, płacząc i łamiąc ręce zawołała: — oni cię w łańcużki okują i po żelaznej muzyce pędzą...

Kielsiew sam był pewny że go to czeka, ale się tą obawą nie zrażał.

Kuczer przyrzekł mu do granicy go doprowadzić — a gdy ujrzeli ją Kielsiew pokłonił się witając ojczyznę.

Przebywszy Prut stanął Kielsiew na brzegu, gdzie go o pasport zapytał oficer, pokazał turecki niewizowany, kazano mu napowrót do Mołdawii. W chatce strażniczój przybyły napisał prośbę do urzędu poddając się rozporządzeniom krajowym. — Jednakże kazano mu nazad się przez Prut przeprawić i urzędnik ofiarował się tam z nim rozmówić. — Gdy Kielsiew ponownie prosił aby go do kraju bądź co bądź puszczono i przyjęto, choćby uwięziono nawet, urzędnicy nie mogli go zrozumieć zrazu, tak się to im wydało dziwném. — Cóżes Waćpan przewinił! spytano go.

Kielsiew oświadczył że w Londynie był w spisku rewolucyjnym z Hercenem i miał udział w polskim powstaniu, narzucając się gwałtem aby go

do więzienia brano. — Kazano mu spisać zeznanie, poczem jacyś grzeczni pograniczni oficerowie zaprosili go na śniadanie — bifszyk i butelkę czerwonego wina.

Również gościnnie przyjęto go w powiatowym miasteczku — wieczera... jednakże ze wzruszenia zachorował. Wyprawiono go z dwoma aniołami stróżami do Kiszeniewa... Tu już coraz wyżej... nie szło tak gładko.... zatrzymano go w więzieniu, zapytując co z nim robić. — Zabrano mu książki, tytuń i wyznaczono celę wysoką w turmie... w której pozostał z myślami — żałami i trwogą która się teraz dopiero rodzić zaczynała. Znać że pierwszy raz siedział w kozie, gdyż okienko we drzwiach przez które wiecznie się mógł obawiać oczów straży, niesłychanie go męczyło. — Okuty więzień brzęcząc łańcuchami przyniósł mu jadło, chleb czarny i polewkę w której pływały kawałki słoniny. Łyżki brakło, ale mu drewnianęj pożyczył więzień. Nie długo jój wszakże używał bo i supa i chleb były nie do przelknięcia...

Zaczął patrzeć w okno... wpadli żołnierze pytać go po co tak długo w oknie siedzi? Położył się na tapczanie; tu mu spocząć chodzący przy drzwiach szyldwach nie dawał, bo niemogąc go zobaczyć, stukał i wywoływał go.

Dano mu wreszcie pokój.

Opis téj kozy, dla ludzi co z nią zrobili znajomość jest jeszcze bardzo mdlemi skreślony barwami — Kielsiew był w tak wyjątkowem położeniu, skrucha jego tak jawna, że mu téż chętnie folgowano.

Kazano później wysłać go do Petersburga. Szczególnemu swemu położeniu winien był ten osobliwszy więzień że po drodze przez zachodnie prowincye spotykało go niezasłużona weale sympatya, o której wspomina wymieniając Żytomierz szczególnie. — Nie wielką mu tém wyrządził przysługę. Po drodze spotkała ich wiadomość o wystrzale Berzowskiego, co więźniowi dało uczuć się także... oburzenie powszechne spadało naturalnie na owego więźnia politycznego. Kielsiew opisuje podróż przez Pińskie błota, przez część Mińskiego. Dopiero w Pskowie uczuł się na swój ziemi, bo mu jeszcze wszystko wyglądało obco. Na stacyi w Ostrowie wsadzono go na kolój... i powieziono do Petersburga. Osadzony w twierdzy Piotro-Pawłowskiéj zwał się Numerem Czwartym; i pozostał od 15. Czerwca do 23. Grudnia 1865. Cała historia dzięki okazanemu żalowi skończyła się tém, że go powołano przed sąd i powiedziano mu: — jesteś pan wolnym, cała przeszłość zapomniana, możesz się udać dokąd chcesz, cesarz raczył cię ułaskawić.

To szczęście winien był temu że się nie zwał  
— Polakiem.

Radość jego była tak wielką, że mu się zrazu  
w głowie zakręciło, nie śmiał wierzyć rzeczywistości!

Reszta wspomnień jest już czysto polityczną  
gadanią ku czci tych których łaski doznał.

Wypadek Kielsiewa, zamknięcie dzwonu Her-  
cena, dowodzą tego co dla nas oddawna było wi-  
doczném, przejednania systemu dzisiejszego z ideą  
rewolucyjną, poślubienia krańcowego radykalizmu.  
Nikt tego nad nas lepiej nie czuje.



*Obrazy Rusi Czerwonej* przez Władysława Za-  
wadzkiego, z rysunkami Juliusza Kossaka, wyszły  
u Żupańskiego w Poznaniu. Książka ładna, miła  
i bogdajby podała myśl podobnego odmalowania  
wszystkich części dawniej Polski. Pióro i ołówek  
składają się na odtworzenie tego starego, dobrze  
nam znanego świata, który codzień pod różnemi  
wpływy się mieni.

A! ta stara Ruś jak my ją pamiętamy, ten ko-  
chany lud rozśpiewany, tęskny a miły i serdeczny,  
jak że przemawia do serca każdego kto się wyko-  
łysał tą piosenką i zbracić umiał z obyczajem.



Niech co chcą mówią i piszą ci coby nas rozbratać teraz pragnęli i postawić z Rusią w walce, od której serce się wzdryga — najlepszem świadectwem staréj miłości dla téj ziemi, to że i ona od nas wiele wzięła i myśmy się u niéj zapożyczali. Któryż z obywateli Rusi, pochodzenia polskiego czy ruskiego, nie pokochał języka, nie nauczył się przysłówiów, nie ulubił téj poezyi smętnej, którą to całe życie przesiąkło... niech co chcą mówią, dwór i wieś stanowiły jedno, póki szatan nie rzucił niezgody ziarna. Szli panowie w kumy i gromada nieraz do dworu i rozumieli się dobrze i kochali się serdecznie i choć wszędzie zły się znajdzie, we dworze i w chacie zarówno... życie jakoś płynęło po Bożemu...

Wróci to czy nie, wspomnienie przeszłości miłej i Ruś nam stara miła i kochana...

Nic wierniejszego nad obraz troskliwie wykonany który nam daje Zawadzki, nic śliczniejszego nad rysunki do niego Juliusza Kossaka. Pierwociny téj pracy miał tygodnik ilustrowany ale w książce zebrana całość zyskuje niezmiernie. Niektóre z ilustracyj Kossaka są natchnionemi obrazami i napatrzeć się ich niemożna, tak pełne prawdy upoetyzowanej serdecznie.

Najprzód krajobraz Podolski... jak zajrzeć rów-



nina zbożem falująca... a w wąwozie ukryte siedzi sioło z cerkiewką i gruszkami zielonemi.

Po nad drogą krzyż... monument drewniany który pobożność wystroiła w blachy świecące, w rzeźbę malowaną... i pokryła daszkiem i obwiesza chustami... Jak zajrzeć po łąkach... sterty gdyby domy... popodpierane, stare... Chleba dosyć!! Przodem chłopak pędzi z końmi na paszę. Ale jak!! młoda krew gra w nim i w rozhasanej czwórce... aż tętni gościniec... hu! ha!

Daléj — patrzcie, stado wołów podolskich po pas w zielonéj trawie na Pantalisie... a w drzémiącej wodzie chodzą bociany... i w dali ino pole a pole... bo Podole polem całe a przeżyzném.

Ta ruina na górze — to Jazłowiecki zamek... Góra pod nim połamana w skały a u wierzchu wieża otluczona i ścian kilka na pół w gruzach... Kawał ten muru mówi wiele niemołą swoją... jakby po przeszłości płakał... Grobowiec to innego życia. Bramy otworem, okna otworem, a gdzie kamień się rozsypał, trawa zasiała i wygryza go do reszty.

Pastuszków przy drodze Kossak gdzieś złapał na uczynku... Chłopak worem się nakrył więcéj dla fantazyi jak z potrzeby, a dziewczęta w kwiatki przystroiliły... młody artysta gra pewien siebie.

Cerkiewką podolską z dzwonnica i owe świeże-

czne bekiesze i kozuchy i białe namitki... czuć Niedzielą... A co ludu dookoła!! Arendarz się cieszyć musi.

Typ *dobrodzieja*, parocha unity, do którego wyświeżona niewiasta przychodzi z kurą pod pachą... schwycony przewybornie. Jaka stoicka zimna krew! co za podanie ręki do pocałunku!

Ten sam wdzięk i prawda jest w Kołomyjce, której pierwsza para daje całą tańca charakterystykę. (Przy Kołomyjce, Bóg wie czemu, przyszedł nam na myśl hr. Gołuchowski i x. Litwinowicz z poza-przeszłorocznój uczty!)

Macie tu i arendarza i nieczrównanych żydów a żydowice, *à la mode antique*, jakich już w Polsce niezobaczyć i drzemiącą wioskę podolską i parę szkap w przyjacielskiej zadumie, i stroje wieśniacze i połudenek pracowitego chłopka zajądającego z bliźniaków przez żonę przyniesionych, ślepego lirnika z powodyrem... a nakoniec pogrzeb wiejski, obraz takięj tęsknicy i uroku, jakby go wyśpiewał poeta. Jest to jeden z najpiękniejszych pomysłów Kossaka. Na zachodzącem słońcem oświeconem niebie sunie się pochód żałobny, dwa woły ciągną trumnę gospodarza... idzie za nią dobrodziej, bractwo ze świecami i długi, długi szereg ludu oświecony blaskami jaskrawemi ostatnich dnia promienia...

Jarmark ożywiony, przypominający Orłowskiego, powrót z miasteczka wesoły... Hailka, taniec tajemniczy, dziwaczny z prastarych czasów pewnie, — Obżynki i Korowaj kończą ten zajmujący wielce zbiór, jedno z najpiękniejszych dzieł Kossaka — gdyby nie było ilustracyi p. Tadeusza.

Obraz p. Zawadzkiego sam przez się jest bardzo cenny, ale mu te wdzięczne, przewyborne drzeworyty, dodają niezmiernego życia, wypełniają go szczęśliwie...

Wkrótce po wynalezieniu druku, instynktowo sztuka drukarska weszła w śluby z drzeworytnictwem; później nieco wzgardzono i zaniedbano ilustracye, które są starych dzieł ozdobą i objaśnieniem nieocenioném. W XVIII. w. sztuka xylografii prawie zupełnie była upadła, w XIX. ją dźwignięto i doprowadzono do szczytu doskonałości. Dosyć się przypatrzyć wydaniom paryżkim, na przykład historyi malarstwa Blanc'a. — Sztuch na blasze nie może być delikatniejszym, swobodniejszym. U nas w Warszawie szczególnie drzeworytnictwo podnieśli Unger, Münchhejmer, i Kłosy S. Leewenthal'a. Nieoceniona to zdobycz i dla sztuki i dla nauki, ułatwioną dziś przez dodanie do tekstu figur, które są stokroć wymowniejsze od najlepszych opisów. Życzyć by należało Lwowu, Poznaniowi i Krakowu,

ażeby Warszawie sprostały i postarały się o umiejętnych drukarzy, gdyż najlepszy drzeworyt odbiciem niedobrem, wiele traci.



Gdy te kartki zostaną wydane, historia tego Polaka, którego nazwisko szczęściem tak przez dzienniki przekręcone zostało że go rozpoznać nie można — już będzie zapewne w niepamięci pogrzebioną. Warto ją jednak ku własnej naszej wydobyc nauce i ukazać w takim świetle w jakim ona jest w istocie. Szczegóły te mamy z autentycznego miejscowego źródła — a imiona są niepotrzebne...

Młody człowiek, płochy, próżny, udający panicza, czepiający się rujnującej wesoło młodzieży, przybierający sobie tytułik, który mu się wcale nie należał, przybył do Francyi na — hulankę...

Jakiś czas to udawanie bogatego młodzieńca, *d' un fils de famille* zawsze się powodzi, ale dzban nie długo nawet nosi wino i — ucho się urywa...

Panicz nasz za pośrednictwem jednej z tych łatwych do zawiązywania znajomości pań paryżkich... poznaje kobietę bez wychowania i nie dawno prostą szwaczkę rodem z okolic Narbony, zwaną cufemicznie Madame Anna de Narbone.

Zdaje się że po wszystkich malowania francuzkiego — *Półświatkach i Loretografiach* nie mamy potrzeby charakteryzować téj pani łakomej grosza i... znajomości. — Młody człowiek niemając wiele pierwszego... musiał ułatwieniem drugich się wywdzięczać za względy i przyjmowanie w towarzystwie, którego przyjemności drogo się oplacają...

Za jego pośrednictwem przyjacielskiém pani Anna z Narbonne porobiła przyjemne stosunki z kilką utracyuszami...

Interesa były tak ciężkie dla młodego panicza iż niekiedy musiał swe... listy zastawne (prosto kwity z lombardu) oddawać pięknej pani do... przechowywania. Znajomość więc była bardzo bliska, ścisła i poufała.

Niewiadomo gdzie ów młodzieniec wielkich nadziei zrobił znajomość, czy był przedstawiony pewnej pani w świecie paryzkim znanej pod nazwiskiem *Mère Benoiton*. Tytuł książęcy okrywał ją blaskiem, zresztą bardzo już przygaszonym życiem fantastycznym. Oboje państwo niemieli sobie nic do wyrzucenia, mąż mamy Benoiton żył niezbyt prawidłowie.

Jaki był stosunek młodego Polaka do téj wieźtrnej francuzicy, Bóg raczy wiedzieć, ale wyobrażał sobie że gdyby książę nie stał na zawadzie, może by się z nią mógł ożenić.

Reszta téj tragikomedyi należy do pani Anny z Narbony, która głupiego chłopaka wyciągnęła na słowo, wpędziła w zastawione sidła, oszuka cały plan, a doprowadziwszy do dojrzałości, poszła z nim spowiadać się policyi.

Niema wątpliwości że to wszystko było dziełem kobiety przewrótnéj, chcącój sobie zrobić reklamę... kosztem dwóch ofiar...

Koniec téj sprawy najlepiej dowodzi że tu ktoś inny prowadził pokryjounu intrygę, a we Francyi wnoszą z nakazanego wyjazdu za granicę samego księcia, że on niebył obcy temu...

Procesu nawet niebyło, cukierki wcale nie okazały się zatrute...; ale łatwowierni Francuzi radzi że mogą Polaka oczernić, gotowali się na owacyą dla księcia i dla pani z Narbony... Jockey-Club miał jój ofiarować... na dar jeszcze nie było zgody...

Mogło by to być przykładem do czego złe, nikczemne, plugawe towarzystwo, rozpusta i płochość doprowadzić mogą!! czem są te malowane lalki paryzkie i ten świat hulaszczycich ludzi, o który niepodobna się otrzeć by niezwałać... Później dopiero odkryje się prawda cała — ale plama, zostanie.



Biblioteka Raczyńskich

JK 1274



JK1274